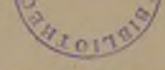


1926



SYGNAŁ „BIAŁEGO PAWIA”

Rok 1926

Czerwiec



W takiej chwili osobliwej krzyczysz, biały ptaku?

A właśnie, w takiej. Dwa lata na nią czekałeś. Ostatni sygnał twój, nieharmoonijny zapewne, ale donośny, przebijający jak lanca gęstwę drzew, ugrzązł i zaciął w gąbczastej atmosferze bezducha. Nie było na kogo wołać i nie było poco roztaczać białych piór. Urodzony w niewoli myśli, okuty w powiciu dławiacemi pierścieniami powszechnego zmotłosenia lub drętwoty. rzekłeś: Nie będę wołającym na puszczy.

Ułożę się do letargu, aż szczęśliwszy dzień zaświta.

Jakoż, zaświtał. Jeszcze nie wierzymy własnym oczom, ale przecież zaświtał. Zatraciliśmy smak słowa: Wolność — ale przecież ona nadeszła. Nie możemy ogarnąć drogi, która prowadzi na jaśnię — ale ona jest.

Mocarna dłoń jednego człowieka potrzęsła kajdanami, które nas wszystkich wiązały do ziemi. Odczuł on, że nie sam jeden tylko, ale i tysiące po za nim jęczą, duszone zatrutemi gazami, znieprawioną opinią, okłamaną świadomością powszechną, wprost szantażem tych, co zuzurpowali gospodarkę i ster w państwie myśli, — zordynarnieniem potrzeb, zbrudzeniem wszelkich sztandarów ideowych, schłopieniem roztrącających się wzajem łokci.

Jedno słowo prawowitego Wodza, a nieprawdopodobne stało się rzeczywistością, i wolno marzyć o powrocie do swych najpierwszych żebraczo-skromnych praw zabierania głosu w kwestjach uczucia i idei i fantazji.

— Czy wy rozumiecie, co się stało? I co teraz w dalszym ciągu dźiać się powinno?

— Czy zdajecie sobie sprawę, że trzeba ten zew oswobodzicielski pochwycić u bram polityki i przepuścić przez bramy, wiodące do literatury, sztuki i wszelkiej pracy twórczego mózgu?

— Czy rozumiecie, że człowiek, nad miarę wytrzymałości wezbrany oburzeniem na widok pobbłażania groźbie upadku, daje nam znać swym mieczem, ażebyśmy pochodnię wolności i prawdy zapalili w sprofanowanej kuźnicy form i kształtów, sądów i koncepcji, uczuć i zwiastowań?

— Czy rozumiecie, że trzeba wyciągnąć wszystkie konsekwencje z epokowego przełomu i gruntownie przewietrzyć, więcej: przebudować mieszkania myśli, toczone przez grzyb w atmosferze błotnego rozlewiska.

Rzucamy oto granat pode drzwi, za którymi panoszy się brak treści i czczość woli, brak powołania i nadmiar pustego zuchwałstwa, kipiąca aż do

szumowin zawiść i nienawiść, ta zwyczajna gadzinowa nienawiść dla polskiej twórczości, dla wzrostu zbiorowego zapału, dla wszystkich jeszcze nie dotkniętych zgnilizną, nie zarażonych trądem owego przez Carlyle'a opiewanego wszechświństwa!

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

Proces staczania się z wysokości entuzjazmu narodowego, poświęcenia i solidarności, aż do anarchji zżerających się wzajemnie bestji, jest dramatem, złożonym z czterech odsłon. Niektóre z nich mają skład chemiczny dwoisty i rozgrywają się na scenie przegrodzonej.

Akt I. Po przywróceniu Państwa Polskiego bił w niebo hymn radości, który trwał aż do bolszewickiego najazdu.

Jednocześnie wróciła z Rosji wielka fala ewakuowanych. Byli wśród nich tacy, co tam na emigracji podsycali ogień narodowej czujności i przytomności i nawet roztaczali szlachetną opiekę nad wygnańcami i przygarniali ich w swoich domach, lecz byli i tacy, co uciekli przed wkroczeniem Niemców niewiadomo dlaczego. Nie byli oni działaczami, ani patryjotami, byli już od kolebki zwyczajnemi nicościami, a w najlepszym razie karjerowiczami, którym zapachniało to, że mogą tanim kosztem przejechać się do państwa bogatego i hojnego (och, jak dla pewnych niepewnych osobników hojnego!) i pozyskać sławę emigrantów o ostrzejszym profilu politycznym, ofiar urojonego okrucieństwa okupantów. Niemcy jednakże, nie tak bardzo głupi, wiedzieli, kto jest niebezpieczny, a kto — ciurą, ciągnącym za obozem. Żadnemu z tych panów, gdyby zostali w Warszawie, włos nie spadłby z głowy.

Gdy wrócili, wdarł się wraz z nimi wartki nurt gonitwy za dobrym złobem. Żłoby w odrodzonej Rzeczypospolitej czekały właśnie na nich i były suto zaopatrzone. Sganarellom przymierza państw zachodnich udało się odrazu zająć miejsca tłuste i ciepłe. Z tych placówek, jak z ufortyfikowanych bastjonów, mogli wysyłać dogodnie trujące gazy znieprawienia, egoizmu i żarłoczności.

Akt II. „Cud nad Wisłą“ — odparcie inwazji.

Ale — to strona druga sceny, — i Brzuchy wdziały na się mundury legionowe i udawały żołnierzy. Każdy był wojakiem — w swojej restauracji; każdy „wypędzal“ wroga. Inni zaś w swej szczytnej pewności, że bolszewicy zajmą Warszawę, a znając sztukę podawania tyłów, uciekli znowu, tym razem na Zachód. Wielu zaś kierowników przedsiębiorstw złotonośnych, którzy mieli na sumieniu znęcanie się nad podwładnymi, pomknęli do Karlsbadu, Marjensbadu i t. p. Trudno się zresztą dziwić — nie uśmiechała się im pozycja stojąca „pod ścianką“ w czekaniu na porcję roztopionego ołowiu.

Niebezpieczna chmura, zawisła nad stolicą i krajem całym, krępowała na razie sabat instynktów drapieżnych — nieproszonych wojaków, ale gdy szarańcza odleciała, odleciała zaś oczywiście sama, przez uprzejmość dla Polski i dla podtrzymania odwiecznej wiary naszej w „cuda“ — rozpętała się orgja. Polską, jak łupem zdobyczym, zaczęto się dzielić. Orgja, wzięwszy rozpęd wtedy, trwa po dziś dzień, wzbiera i zalewa wszelką możliwość duchowej egzystencji.

Akt III. Polska zaczyna się stroić w gronostaje chwały. Międzynarodowe surmy otrębiają jej sławę po świecie. Nietylko pisma paryskie, które, jak mówią o „Temps'ie“, nawet okrzyku „Vive la France!“ nie wydrukują za darmo, lecz i inne prasy podnoszą prestige szóstego z rzędu mocarstwa na kontynencie.

Jednocześnie jednak — to strona sceny druga — wierni synowie Polski zaczynają po obu stronach Atlantyku szcuć przeciw niej, znieważać ją i spotwarzać. Było to dziwne oczernianie, nurzano w błocie nie arrivistów, lecz właśnie tych, co się ze wstrętu do arrivizmu dusili, a przedewszystkiem najzasłużeńszych w Narodzie. Wtedy to również Wielkopolska stała się asylem dla wszystkiego, co odpadało w zgangrenowanych strzępach od zdrowego ciała Rzeczypospolitej,

I oto nadeszły czasy, kiedy załamywano ręce i zapytywano:

— Więc na tośmy dawali Molochowi wojny swoich synów, braci, traciliśmy spokój i mienie i moralne podstawy istnienia, ażeby Polskę mieć taką? Więc to jest ziszczenie naszych marzeń z czarnej nocy uciemżenia? Inni, zdeptani przez ciżbę patryjotycznych spekulantów, lub zawieszeni, jak ptacy, nad rozlaną szeroko rzeką i szukający oparcia chociażby w wystającej gałąźce — ratowali się mistycznym, niezdrowem chronieniem się pod skrzydła zainteresowań nierealnych, nieziemskich. I stało się im obojętnem, co będzie jutro. A sam wyraz „Polska“ zaczął dla nich gasnąć i blednąć lub rozplýwać się w kosmopolitycznym indyferentyzmie, w ironiczno-sceptycznym „desinteressement“, wobec losów własnej ojczyzny.

Akt IV. Błysnął miecz Walgierza Udałego i posypały się skry, gdy kruszył żelazne okowy, którymi przykuty był do skał lochu. Wtedy wybiła godzina pokajania. Nie trzeba Walgierzowi hołdów, nie trzeba go gloryfikować superlatywami. Jest prawdziwym, wielkim, ludzkim człowiekiem, zmęczonym i zbolałym, tem co przeszedł i tem co przeszła jego ziemia. Ale nieugięta jego wola jest silniejsza niż piekło własnej goryczy. Jest tym, który pewnie wyrzekł słowa Prometeusza Shelleyowego:

„Niech inni kadzą zbrodni, co zasiadła na krótką wszechmoc — ja na korność ważyć się nie mogę!“

Samo to hasło jest już początkiem odrodzenia. Choćby złe moce miały na nowo wziąć przewagę, posiew rzucony nie zniszczeje.

Słychać wyraźnie głos Bogini z „Nocy listopadowej“ Stanisława Śmiałego polskiej poezji:

„Krwí przelanej nie zmarnię“.

ODCINEK KRZYSZTOFÓW.

Dramat powyższy jest nietylko lawiną wypadków politycznych. Ogarnia on wszystkie pola narodowego bytu. Wyniki jego powinny być nilowym iłem dla wszelkiej pracy twórczej.

Rozpad moralny w układzie politycznym odbija się dokładnie, wiernie i ściśle na układzie życia intelektualnego. W myśli i twórczości, która była przez cały czas podległości ambasadorem Polski w obliczu świata ucywilizo-

wanego, zapanował zły, jadowity chaos. Ludziom, którzy na swych barkach Krzysztofów przenieśli przez rzekę niewoli uśpioną Niepodległość — odebrano resztę powietrza dla oddychania i ostatni kęs chleba.

Zapewne Marszałek Piłsudski, choć sam pisarz, mówca i historyk, i bystry znawca ludzi, choć obdarzony temi darami intuicji, które powinny być obowiązującym cenzusem każdego umysłowego działacza, nie zdawał sobie sprawy w czasie, gdy po nietzschejsku „filozował młotem“, — że rozbijał też skorupę umysłowego nierządu. Walił w samą oś i mógł nie oglądać się na peryferje, ani na prawo ani na lewo, nie widzieć poza - politycznego zabagnienia. To nie jego rzeczą było; podważał i przesuwiał zasadniczy punkt ciężkości. Ale bractwu literatów i tak zwanych coraz częściej i szumniej „twórców“ w ten sposób dozgrzeszać siebie nie wolno. Ono powinno mieć otwarte oczy i uszy i poczucie winy, że pozwoliło zahamować dopływ górniejszej myśli, rzetelnego sądu, że ugrzęzło w błocie po pępek, że straciło resztę kryterjum i niema żadnych tablic wartości, że ustanawia na ludzi i ich prace ceny według praktyki zawodowych fałszerzy wag i miar.

Z chwilą tedy, kiedy zagrzmiała pobudka do ataku na wroga tej minimalnej prawdy i sprawiedliwości, które są niezbędne dla bytu państwa, kiedy postanowiono wydobyć z narodu siły, zepchnięte w podziemia agonji — bractwo to powinno ocknąć się w swoim wielkim odcinku frontu bojowego, *odcinku Krzysztofów*, i zatrzeć do szarży. Trąbka grać powinna z francuska i odbrzmiewać dawnym wolterjańskim apelem: „*Ecrasez l'infâme!*“

WAŁACHY ATYLLI.

Powstałe do nowego bytu Państwo miało z początku dobrą pamięć: pamiętało, co zawdzięcza literaturze i sztuce. Była w niem przytomna ta prawda, że największymi politykami i najbardziej demaskującymi znawcami podstępnych wrogów zarówno w Europie jak i w samej Polsce — byli poeci romantycy. Oni też z małymi wyjątkami natręźwo lub w mistycznej ekstazie jasnowidzieli zmartwychwstanie. Oni to wprowadzili ten zacięty i zażarty upór cichej lub jawnej walki o nie. Okres realizmu i pozytywizmu i wrzekomej rezygnacji, pomimo rzucanych nań obelg i plotek ze strony parafian-szczyzny — wszelkiemi możliwemi drogami cementował rozbitą naród, kształcił go i rozwijał lud, zastępował lub prostował prowokatorską pedagogję zaborców. Słowem, skrycie a kunsztownie i niezmordowanie podciągał kulturę i oświatę i samowiedzę polityczną Trój — Polski do poziomu Zachodu, do wysokości tradycji przedrozbiorowej, do katedry świadomości, co było narodu zgubą i co go ocalić od dalszego upadku może.

Literatura i sztuka budowały Polskę od wewnątrz a reprezentowały ją na zewnątrz, w niesformowanej jeszcze lidze narodów.

W rozumieniu tej historycznej i monumentalnej roli, nowe Państwo stworzyło Ministerjum sztuki. Nic nie mogło być bardziej rozumnem i bardziej politycznem.

Lecz djabeł nie spał. Tylko ministerstwo spało lub jak dziecko bawiło się igraszkami, orderami i świecidełkami. A gdy tak spało, przyszedł wilk i pożarł je.

Został tylko Departament sztuki ze znakomitym artystą na czele — Juljanem Fałatem. Lecz cóż się okazało? Tyle śmieszności i absurdów zako-

rzeniło się w różnych instytucjach, kulturze i sztuce oddanych i tyle z nich podlega wandalskiej i niepiśmiennej kompetencji miasta, że Departament sztuki nie wiele mógł zrobić. Ostatni z jego kierowników, naciskany przez przewlekłe chory fiskus, wydzielął z siebie tylko ciecz obietnic i uprzejme pozory pomocy. Główną zaś jego działalnością było i jest cofanie danego słowa, przekazywanie należnych artystom i pisarzom subwencji dyrektorom teatrów, umiejących, jak wszyscy wogóle dyrektorzy teatrów, chodzić koło swoich interesów, — oraz reprezentowanie M. O i W. R. (straszne inicjały) na spektaklach.

Ostatnim obrazem tej smutnej rewji było mianowanie Ministrem O. i W. R. p. Stanisława Grabskiego („mną będą straszyc dziatwę“ — mówi wojewoda z „Mazepy“). Którędy ten wałach Atylli przejdzie, tam trawa nie porośnie.

Trzeba więc te ugory, ogołocone z gleby najwyższej żyżności, gleby winogradowej, szampańskiej, którą swojcy prusacy wywieźli w imię patryjotycznej nienawiści dla kultury polskiej i gwoli łatwiejszemu zapanowaniu nad mózgami wyjałowionemi z myśli — na nowo nawieźć, zorać i obsiać.

Taka była dotąd opieka i takie są od teraz zadania rządu.

TAKSOMETRY KRYTYKI.

Z wyjątkiem kilku pisarzy, krytyków niezależnych od polityki, istotnie wykształconych i odczytanych, rozmiłowanych w wielkiej literaturze i posiadających zwykły w takich razach grunt obowiązkowości, jak Jan Lorentowicz, Ostap Ortwin, Karol Irzykowski (choć ten nieraz chybia), Boy-Zeleński (ten gorliwie wyznaje egocentryzm i tam, gdzie mu to jest pożyteczne, patrzy na pisarzy polskich przez pryzmat tendencyjnie czysto nadsekwański), oraz niewielu innych młodszych, jak Stefan Kołaczkowski — krytycy nasi, a więc dzierżyciele najważniejszych w piśmiennictwie buław, żywe koła loteryjne, w których wychodzą losy twórców — przeszli poważnie na służbę sejmowych redakcji, grup i towarzystw wzajemnych ubezpieczeń od skutków niedokończenia edukacji — czyli tak zwanej ignorancji. Są oni doskonale karni, stają na baczność przed własną korzyścią materjalną. Niektórzy są to milczący bojkociarze z zaciśniętymi ustami, niektórzy zaś — hałaśliwi, natrętni, nadprawdopodobieństwo kłamliwi, recenzenci — pochlebcy lub potwarcy; niektórzy wreszcie spuchnięci żądzą wkupienia się w łaski „młodych”. Przeto zrobiła się giełda, w której więcej jest maklerów, niż obiektów transakcji — pośredników o rękach grubych lub niemytych, głowach napełnionych beztreścią, sercach, bijących jak taksometry do odmierzenia prawomyślności pisarzy i artystów wobec królów obowiązującego jarmarku.

Od czasu do czasu na tej targowicy urządza się konkursy, za które płacą naiwni księgarze wysokie premja upatrzonym z góry laureatom, lub fabrykuje się plebiscyty, w których publicznością głosującą są jedwabne i półjedwabne pończoszki pół-i ćwierćdziewic — siostr i kuzynek Esterki.

W ogólności — choć „Biały Paw” doskonale wie, skąd się wzięła lwia część koryfeuszów dzisiejszej myśli: Einstein, Bergson, Meyerson i tylu uczonych i literatów w Polsce czystszej formacji — nie może przeoczyć faktu, że żywił semicki w krytyce naszej działa demoralizująco i pustosząco. Brak poczucia stylu w wyższem znaczeniu tego słowa, bezceremonjalność w sądze-

niu bez poznania utworu, organiczna niezdolność do wyrzeczenia się zawiści, poufałość „ami-cochon”, której charakterystycznym symbolem jest przytrzymywanie łokciem współspacerującego towarzysza, nienawiść dla wszelkiej wyższości własnych nieszczęsnych współplemieńców, brak czucia samodzielnego i własnego odruchu myślowego w pierwszym poczuciu sądu estetycznego, grafomanja, traktowanie literatury i sztuki jak mody (np. pół-bucików lakierowanych), faszerowany snobizm o zapachu piątkowo-sobotnim, rozumienie zawodu krytyka jako prawa do otrzymania kartek teatralnych — oto główne cechy tej najnowszej pisarskiej generacji.

Trzeba podziwiać tych istotnie utalentowanych, choć już nieco przez tamtych zakazanych — poetów, którzy mają często karmazyn w treści a kryształ w formie, że w symbiozie z takimi elementami nie boją się zatracić twórczego męstwa i własnej poetyckiej linii. Ach, nie, oni ją już powoli tracą; wyczerpują się i bodajby się nie sprawdziło, że są już u kresu.

Wszystkie te znamiona i zjawiska są prostymi odbiciami standecenia i schamienia, które się rozlało po całym społeczeństwie i przesycało wszystkie poczynania i urządzenia — a szło od tej konstrukcji, która mimo pozornych zmian i rekonstrukcji, była dotąd stałym, niezmiennym gabinetem rządu polskiego.

Truczna produkowana z góry, trudno żeby nie spływała na dół...

BUSSOLE KACYKÓW.

Gdy przejdziemy do rangi władzę dzierżących, do rozkazodawców w stosunkach artystycznych i literackich, a szczególnie teatralnych, to bussolą dla nich, dla redaktorów, dyrektorów, kierowników literackich i t. p. okaże się przynależność partyjna i barwa polityczna danego pisarza lub artysty. Jeśli zaś on pod żadnym jaskrawym sztandarem nie stoi i stać nie chce, to subtelnym zmysłem psychologicznym odczują takie lub inne powinowactwo: w jego ogólnem nastawieniu umysłu, w uczuciowej stronie natury, w sympatjach i antypatjach, w związkach i przyjaźniach, w ogólnej postawie — niezawisłej czy służalczej, pańskiej czy lokajskiej wobec partji, mających przewagę. Zasadniczo zaś wszystkich niezawisłych zwalczają i tępią.

Naodwrot, nieomylnym glejtem jest być dobrze widzianym przez skrajne partje prawicowe lub też i lewicowe. Naogół zaś szafarze kwalifikacji i łask, praw i pieniędzy, głównie patrzą na jedną bussolę nieomylną: narodową demokrację. Ponieważ ona swym wielkim kręgiem obejmuje i całą prawie arystokrację i ziemiaństwo i elegancką burżuazję wielkiego przemysłu, więc chęć przypodobania się jej i niechęć zrażenia jej sobie jest tą główną sprężyną, która zastępuje własne sumienie w krytyce, w stosunku do piszących dla sceny, do kompozytorów i do wszelkich wogóle twórców. Człek partyjny przejdzie, dziki, szorstki lub chropowaty — padnie. Partja t. zw. ludowo-narodowa ma potęgę i niewątpliwie duży urok. Choć nie wszyscy jej członkowie są aryjczykami pełnej krwi, są wśród nich piękne i rasowe natury polskie, typy ujmujące wdziękiem, wielkie talenty pisarskie, wyborni styliści i ironicy, państwowcy nieosobliwi, ale w nich żywie ta kobieta tajemnica samej Polski, że odpychając — przyciągają, a szydząc — nęcą. O ich uśmiech

królowy niewydzialnie zabiegają i socjaliści i nawet sjonisi i mają po nocach erotyczne sny ze zmazami, których bohaterką jest zawsze — narodowa demokracja.

Takim marzycielem był we wszystkich swych wyrokach Wilhelm Feldman, takim wrzekomo apolitycznym jest dobrodziej twórczości polskiej dr. Szyfman, takim jest dyr. Młynarski i p. Miłaszewski, jako wyraziciele polityki magistratu.

Nie lepsi są w gruncie rzeczy wszyscy inni „dyrektorowie”, wydawcy, naczelnicy imprez artystycznych lub literackich, choćby to była tak wielka firma nakładowa jak „Instytut Biblioteka Polska“.

Dla wszystkich pracowników sztuki i literatury, którzy zachowali swobodę przekonań i upodobań i iść na kompromis z tałafajstwem nie są zdolni, — zapadł wyrok zagłady.

Albowiem zaszczytny obowiązek służenia kulturze zaprzepaścił się w cynizmie kombinatorskim, w wyzyskiwaniu zdobytych przez protekcję lub drapieżnymi palcami stanowisk — dla celów kalkulacji.

Powiecie: tak jest i gdzieindziej.

Kłamstwo. Gdzieindziej „ustabilizowana”, przerwom nie podlegająca kultura wyrobiła w sobie wielki postulat cywilizacji: poszanowanie pracy, i jeśli nie miłość to zyczliwość dla każdego wysiłku duchowego. Na zachodzie i nawet na wschodzie znają *mores* przed niewydzialnym areopagiem publicznego sumienia. W Polsce takie sumienie, od chwili inauguracji żerowiska na Niepodległości, pełga tylko jak dopalająca się świeca.

Zresztą gdzieindziej nie było tej prześwietowej ery, jaką jest odzyskanie swojego Państwa po długiej niewoli, gdzieindziej nie mieli tych błogich możliwości wyszlachetnienia, nie było tej potrzeby gromadzenia i pielęgnowania kiełków twórczych. Nie było racji dla moralnego oczyszczenia ani impulsu do zerwania z bytowaniem żywych trupów. Nie było, słowem, dziwu zmartwychwstania. I nikt nie musiał skarżyć się słowami uciemiezonego poety, że *mu pod mogiłą, z aniołem śmierci żyć tak strasznie było*.

Sygnal ostrzegawczy rzuca „Biały Paw”. Po raz drugi od lat siedmiu otwarły się wielkie perspektywy. Jeśli teraz nie odrodzi się i nie oczyści nasza praca twórcza, to pozostanie brudną na zawsze. Musimy zerwać radykalnie z panującym ustrojem protekcjonizmu i przekupniowego krzykactwa.

Wy wszyscy, zahukani i zagłuszeni wrzaskiem koledzy, którzyście tyle razy namawiali „Białego Pawia” żeby odżył w osobie którego z swych poprzedników: „Rydwanu“ lub „Ateneum“, i nawet ofiarowywali swój ciężko zapracowany grosz — *raczcie ten sygnal pochwyć*.

W gorącej i bogatej, nowe prawdy i wskazania rodzącej dobie dzisiejszej — będziemy czerpali soki życiowe. Jest niesłychanie wiele do powiedzenia i do sprawdzenia, do uratowania od zguby, do zabezpieczenia od miazmatów.

Wszystkim, którzyby chcieli i mogli zabrać na tych skromnych kartach głos i pomódz sprawie zreformowania życia naszego *w literaturze, sztuce i idei*, z kornym pokłonem wychodzimy na spotkanie.

BIULETYN.

W teatrze Narodowym wznowiono ostatnią sztukę Stefana Żeromskiego: „Uciekła mi przepióreczka”, z gościnnym występem Juliusza Osterwy. Z oddali czasu widziany, dramat ten ukazuje swe wartości całkiem niezmienione i nie zblakłe. Ma oczywiście, swą teoretyczność i abstrakcyjność i nieprawdopodobieństwo różnych Judymowych harakiri, które były stałą krwawą i patetyczną struną wielkiego tego po-romantyka, ale tym razem potężniej trafił on w logikę, której brak we wszystkich bojach o dogmat moralny zawsze się mścił. Samotortura, niedostatecznie albo wcale nie umotywowana, stawiała nas zawsze wobec znaku zapytania lub też hipotezy hypochondrycznego czy histerycznego odruchu. W „Przepióreczce” samoudręka Przyłęckiego, wyrzeczenie się osobistego szczęścia i sławy, już zdobytej, wyszarpięcie z serca gorącej miłości — ma przynajmniej cel realny i wspaniałe pobudki za sobą. Chce on otrzeźwić, rozczarować zakochaną w nim panią Dorotę; nie zabijając jej męża i dziecka; spotwarza się przed nią i całym gremium profesorów, wkłada maskę szydercy, cynika i taniego demagoga — i cel swój osiąga. Jest to coprawda droga niezmiernie kosztowna, gdyż jednocześnie burzy on zapale uczelni, której był duchem dobrym i natchnieniem, rzuca jad w wyhodowane przez siebie samego kwiaty, tak, iż i tutaj teoretyczność rzekła swoje. Ale, co jest najważniejsze, szczytność i istotna wielkość unosi się nad poszwankowaną i tym razem prawdą życiową.

J. Osterwa był niezrównany; jego partnerka — nad miarę kliwa i tak ultradziejowicie słaba i pokorna, że mogłaby być tylko zakochaną ale nigdy kochaną przez człowieka wielkiej mocy myślowej. Do ról profesorów — powołano samych senatorów teatru Narodowego.

Marja Grossek, wielkiej miary poetka polska, o fizjognomji duchowej wybitnie nowoczesnej, umarła — w zapomnieniu. Postaramy się ją przypomnieć.

WYDAWNICTWA TOW. „RAPSD“

CEZAREGO JELLENTY

1. **Jasny Hubert**, powieść. Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski. Hotel Europ.
2. **Rekonstrukcja i transkrypcja sceniczna „Samuela Zborowskiego“**
J. Słowackiego. Księgarnie Gebethnera i Wolffa.
3. **Wielki Zmierch**, pamiętnik — powieść. Księgarnie Gebethnera i Wolffa.
4. **Rycerze Lilji**, powieść. Księgarnia F. Hoesicka, Senatorska 22, do nabycia we wszystkich innych księgarniach. **Nowość!**

SPIS RZECZY:

W takiej chwili. — Dramat w czterech aktach. — Odcinek Krzysztofów. — Wałachy Atylli. — Taksometry krytyki. — Bussole kacyków. — Biuletyn.

Ekspedycję „Białego Pawia“ objął „Dom Książki Polskiej“, Plac Trzech Krzyży 8. Adres Redakcji — Hoża 39, m. 26. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od 5—7. Tel. 197-28.

Redaktor i wydawca: Cezary Jellenta.

Cena egzemplarza gr 50.

DRUK. M. S. WOJSK. WARSZAWA PRZEJAZD